

Z DZIENNIKA WIEWIÓRKI

Michał Rogowski



Dla Malenstva – mojej najwierniejszej
czytelniczki!

Ogień nienawiści

Choć gryzący dym szczypał go w oczy, a z rozbitego nosa wciąż kapłała krew, Milo Ansbach nie odrywał spojrzenia od płonącego zajazdu. Patrzył poprzez łzy, jak ogień trawi jego wymarzony zakątek i obraca w popiół miejsce, z którym wiązał wszystkie swoje plany na przyszłość.

Piętnaście lat... – pomyślał Milo. – Piętnaście lat ciężkiej pracy i oszczędzania, by odłożyć na swój własny zajazd, a teraz wszystko przepadło.

Z rozmyślań wybudził go potężny kopniak w plecy, który obalił niziołka na ręce i kolana.

– Patrzcie go, karzełka! Zajazdu mu się zachciało, nieludziowi parszywemu! – Człowiek, który stał za nim był jednym z trójki, która przed dwiema godzinami przybyła do zajazdu na popas.

Milo zdążył się im przyjrzeć, gdy bili go i ograbiali jego dom. Na stojącego za nim otyłego brzydala, wołali Wrzosek. Przy koniach kręcił się i ładował skradziony towar w sakwy chłystek, na którego krzyczeli Młody. Ich herszt, potężnie zbudowany brodac, szczał właśnie w rosnące przy lesie krzaki i poganiał swoich ludzi.

– Prędej! Żywo! Nie chce tu całego dnia zmitrężyć!

– Z tym pokurczem co robimy, kapitanie? – Wrzosek kopnął Milo jeszcze raz, tym razem w żebra. Boleśnie.

– Młody! Dawaj sznur! – Kapitan odwrócił się do swoich ludzi i zaczął zasznurowywać rozporek. – Powiesimy go na wysokiej gałęzi! Będzie miał lepszy widok!

Milo usłyszał za plecami rechot swoich oprawców. Jemu jednak do śmiechu nie było. Nadal na klęczkach wpatrywał się w ogień. Nie odwrócił się, by zobaczyć, jak Młody przerzuca sznur przez gałąź i wiąże na nim pętle. Czuł się zupełnie bezradny, ale nie chciał pokazać po sobie strachu.

– Dawaj go tu, Wrzosek! – Chłopak potrząsnął pętlą zachęcająco. – Zobaczmy, jak tańcuje... – urwał nagle i ze zdumieniem spojrzał na zakrwawione ostrze miecza, które właśnie wysunęło się z jego piersi. Jęknął cicho, gdy stojący za nim młody elf, wyszarpnął klingę i kopniakiem obalił go na ziemię.

Wrzosek wytrzeszczył oczy. Wyszarpnął miecz z pochwy i już chciał ruszyć na elfa, gdy nagle Milo schwytał go za nogę i wbił w nią głęboko zęby. Zaskoczony człowiek wrzasnął wściekle z bólu i zamachnął się ostrzem na niziołka. Miecz uderzył jednak głucho o tarczę ciemnowłosej elfki, która nie wiedząc skąd wyłoniła się jak zjawa. Człowiek nie miał czasu na zdziwienie. Elfka błyskawicznie wyprowadziła cios i kantem tarczy uderzyła go w skroń, obalając nieprzytomnego na ziemię.

– Wiewiórki! – wrzasnął kapitan i sięgnął po zatknięty za pasem topór.

Elfów jednak to nie wystraszyło. Patrzyły spokojnie, jak z lasu tuż za brodaczem wyłania się krępy krasnolud i potężnym ciosem dwuręcznego młota miażdży zbójowi kark.

Wrzosek zaczął odzyskiwać przytomność. Jego skroń pulsowała bólem i powoli docierało do niego, co się stało. Obrócił głowę i zobaczył stojącego przed zajazdem niziołka, nadal wpatrującego się w ogień. Z drugiej strony słyszał rozmawiające ze sobą w nieznanym mu języku elfy. Spróbował obrócić się na brzuch. Myślał, że może zdoła się odczołgać w pobliski las. Nie zdołał, bo ciężki krasnoludzki bucior przygniótł mu pierś do ziemi.

– Usul! Ten tutaj jeszcze dycho! – krzyknął krasnolud.

Młody elf odwrócił się od swojej towarzyszki i podszedł do leżącego na ziemi Wrzoska. Wpatrywał się zimnym wzrokiem w szeroko otwarte oczy człowieka, z których aż biło przerażenie.

– Co z nim robimy? – zapytał krasnolud i wskazał głowicą młota na płonący zajazd. – Takie ładne ognicho aż szkoda zmarnotrawić.

– Co powiesz, Andeith? – elf zwrócił się do stojącej za nim wojowniczką. – Tryggvi chce upiec sobie pieczeń.

– Skończmy z tym, Usulu. Musimy ruszać, mamy zadanie – odparła elfka melodyjnym, cichym głosem. Nie spojrzała nawet na mężczyznę, którego przed chwilą powaliła na ziemię. Jej wzrok nie odrywał się od stojącego przed nią elfa.

– Nim wam przerwaliśmy, szykowaliście zdaje się sznur... – Usul zawiesił głos, a na jego twarzy wyrósł niepokojący uśmiech. – Dobry sznur też szkoda zmarnować.

Mila nie interesował poruszany wiatrem wisielec, ani trupy leżące przed zajazdem. Patrzył z rezygnacją, jak ogień trawi całe jego dotychczasowe życie i niszczy wszystkie plany, które wiązał z przyszłością.

Andeith podeszła do niego niemal bezszelestnie. Kucnęła tuż za nim i położyła mu rękę na ramieniu.

– Możesz odbudować swój zajazd, ale im podobni przyjdą i spalą go znowu... – jej głos był spokojny i cichy, Milo jednak słyszał go bardzo wyraźnie, nawet pośród powodowanego pożarem hałasu. – Możesz też odejść, wrócić do miasta i żyć pośród dh'oine, którzy odebrali ci wszystko.

Niziołek odwrócił się powoli i spojrzał w oczy elfki. Były zielone. W bijącym od płomieni blasku lśniły jak szmaragdy. Spoglądał na nią w milczeniu, a Andeith widziała ogień w jego wzroku. Nie był to blask pożaru, ten ogień był zupełnie inny. Widywała taki bardzo często u wojowników Komanda. To był ogień nienawiści.

– Idę z wami – oznajmił Milo po chwili i otarł kapiącą z nosa krew. W jego głosie nie było prośby czy pytania, a wojownicy nie odezwali się nawet słowem. Andeith spojrzała krótko na Usulę, a ten zgodnie pokiwał głową.

– To ustalone! – Tryggvi zarzucił sobie zrabowane sakwy na ramię. – Wyośmy się stąd, czekają na nas.

Nim nastał świt, cała czwórka zniknęła pomiędzy drzewami, niczym leśne zjawy, zostawiając za sobą tylko ogień i śmierć.

Cena przetrwania

Milo był przerażony. Pot skraplał mu się po skroniach, a serce łomotało w piersi. Zastanawiał się, czy uciekłby, gdyby nie spokój i opanowanie jego towarzyszy. Chociaż miał wrażenie, jakby upłynęła już cała godzina, ich czwórka od zaledwie kilku minut kryła się w zaroślach na granicy lasu. Przed nimi rozciągała się nieduża polana, na której stała samotna, pokryta słomą chałupa z zagrodą i niedużym ogródkiem. To co ich zaniepokoiło, to piątka koni uwiązana przed obejściem i trup leżący u drzwi.

– Możemy ich obejść. Przez las. Pójść w swoją stronę – wyszeptał Milo i wytarł spocone dłonie o spodnie.

Przed dwoma dniami, gdy śmierć spoglądała mu w oczy, był spokojny i pogodzony z losem. Teraz było inaczej, miał wybór i chociaż się tego wstydził, czuł strach.

– Pamiętasz, jak wczoraj na noclegu tłumaczyłem ci, że walczymy o wolność i przetrwanie? – młody elf mówił bardzo cicho, ale Milo słyszał jego słowa tak wyraźnie, jakby rozbrzmiewały w jego własnej głowie. – To była lekcja pierwsza. Teraz czas na drugą. Wolność i przetrwanie mają swoją cenę, Milo. A ceną tą przeważnie jest krew.

Elf uśmiechnął się wesoło, nie odrywając wzroku od obejścia. Stojąca przy jego ramieniu czarnowłosa elfka spojrzała na niego kątem oka.

– Wychodzą! – zabrzączał krępy krasnolud, zaciskając mocniej dłonie na trzonku młota.

Z chaty wyszło ich pięciu. Sądząc po wyglądzie zwykli bandyci lub dezercerzy. Usul ucieszył się na ten widok. Wiedział, że z regularnym wojskiem mogliby mieć problem.

– Tryggvi – Spojrzał szybko na krasnoluda. – Widzisz tego wielkiego, łysego draba? Tego co tak głupio rechocze.

– Jest mój – odparł chrapliwie krasnolud i w mgnieniu oka zniknął w zaroślach.

– Usulu, Andeith... Ja nie umiem walczyć – wyszeptał przestraszony niziołek.

Elf przykucnął przy nim i uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

– Zaczekaj tu na nas, a jeśli... Jeśli nie wrócimy uciekaj, Milo.

Elfka założyła na ramię tarczę i dobiła bułata.

– Jestem gotowa – rzekła spokojnie.

Usul zacisnął mocniej dłonie na dobytých już broniach. Wyszli oboje na polanę, idąc prosto w stronę niskiej chałupy, przed którą stała szajka bandytów. Już z daleka zobaczyli poruszenie wśród ludzi. Głośne śmiechy ucichły, a twarze zbirów zwróciły się w ich stronę.

– Patrzcie kogo niesie, chłopcy! Chyba się jeszcze dziś pobawimy! – krzyknął jeden z dezertarów.

Jego kompani dobyli broni. Najwyższy z nich był zupełnie łysy i trzymał się z tyłu. Klepał spokojnie obuchem topora o otwartą dłoń.

– Hejże! Elfkę pierwszy biorę! – zawołał, wskazując na Andeith. – Łapy precz od niej, aż pozwolę, hałastr!

Nie mógł widzieć, jak Tryggvi wbiega po drabinie z tyłu chałupy na słomiany dach. Nie mógł też wiedzieć, że za jego plecami krasnolud cały czas obserwował go, ściskając w dłoniach swój dwuręczny młot. Usłyszał za to ochrypły, krasnoludzki ryk, gdy zdobiona głowica tego młota popędziła w stronę jego głowy. Zdażył jedynie odwrócić się i spojrzeć, jak skacząca z dachu krępa postać rozbija mu twarz na miazgę. Pozostali bandyci odwrócili się natychmiast w stronę krasnoluda. Elfy tylko na to czekały.

Rzuciły się pędem i w kilku skokach dopadły swoich ofiar. Andeith w biegu cięła bułatem stojącego po lewej chłystka. Trafiła w szyję. Krew natychmiast trysnęła z otwartej tętnicy. Na tego z prawej wpadła z rozpędem, biorąc go na tarczę. Zbir zasłonił się rękoma, ale impet i tak odrzucił go do tyłu. Jeszcze nim upadł, ostrze bułata zostawiło mu krwawą pręgę na plecach.

Usul doskoczył do pozostałej dwójki. Pierwszego ciał z lewej ręki od góry, ale jego pałasz uderzył w przygotowaną do bloku broń. Elf spodziewał się tego. Natychmiast poprawił trzymany w prawym ręku nadziakiem, który aż po trzonek wbił się w ucho człowieka.

Ostatni z szajki rzucił się do ucieczki, ale krasnoludzki młot chlasnął go od tyłu po nogach. Zbir zawył głośno i upadł na ziemię, a Tryggvi zaraz poprawił kolejnym ciosem.

– To chyba wszyscy – powiedziała melodyjnym głosem Andeith. Wytarła zakrwawione ostrze bułata o pierś zabitego człowieka.

Milo dobiegł do nich pędem, nie mogąc złapać oddechu. Sapał ciężko, stojąc pośród ciał, wsparty rękoma o kolana.

– Udało wam się! – powiedział, rozglądając się z uśmiechem. – Zabiliście ich!

W tej chwili cała czwórka obejrzała się na chałupę, z której rozbrzmiał głośny płacz. Poznali od razu, że to płacz niemowlęcia. Weszli do środka, mijając leżące u drzwi ciało mężczyzny, które dostrzegli już wcześniej z lasu. W środku było duszno, pachniało krwią. W kącie leżała kobieta, z której poderżniętego gardła zdążyła już wyrosnąć spora kałuża. Na środku izby płakało niemowlę. Tulila je do siebie dziewczynka, najwyżej trzynastoletnia, ubrana w strzępy podartej sukienki.

Elfy podeszły do niej bliżej. Dostrzegły krew ciekącą po jej nogach. Mała skuliła się i zasłoniła kwilące niemowlę własnym ciałem.

– Tfu! – Tryggvi splunął w kąt izby, zarzucił sobie młot na ramię i ruszył w stronę drzwi. Wychodząc poklepał stojącego z tyłu niziołka, by udał się razem z nim na zewnątrz.

Milo jednak został. Czuł, że musi zostać.

Usul wpatrywał się w leżących u jego stóp dh'oine. Zacisnął mocniej dłonie na rękojeściach broni, z których wciąż kapła jeszcze ludzka krew.

Długo wędrowali w milczeniu, przedzierając się przez las. Woleli unikać traktów. Drzewa zapewniały im bezpieczeństwo. Milo powstrzymywał się długo, w końcu jednak nie wytrzymał i zadał nurtujące go pytanie.

– Usulu... Tam w chałupie... Ja myślałem...

Elf zatrzymał się nagle i odwrócił w stronę niziołka.

– Niech to będzie lekcja trzecia, Milo. Czasem... – Elf zastanowił się chwilę i zerknął na uśmiechającą się do niego elfkę. – Czasem cena jest po prostu zbyt wysoka.

Śmiertelny wróg

Spoglądał w milczeniu na swoje posiniaczone i podrapane ręce.

Ręce kucharza, tak zawsze mówili – pomyślał Milo i uśmiechnął się sam do siebie. – Ręce, które zawsze umiały wyczarować coś pysznego.

Podniósł wzrok i rozejrzał się dookoła.

Nocowali w lesie, na niewielkiej polanie, której nie porastały drzewa. Jak każdego ranka, Andeith przez godzinę uczyła go walczyć. Wymachy, cięcia, garda i kij, którym elfka raz po raz okładała go po rękach, gdy on nieumiejętnie próbował uniknąć jej ciosów. Choć były bolesne, lubił te ćwiczenia. Wiedział, że są konieczne i nie chciał zawieść swoich towarzyszy.

Usul siedział na mchu przy ognisku i spoglądał na niego z uśmiechem. Jak zwykle obserwował uważnie ich lekcje fechtunku. Milo był jednak pewien, że gdyby Andeith walczyła z własnym cieniem, elf obserwowałby równie uważnie.

– Usul! – Tryggvi wybiegł z zarośli i podbiegł do ogniska zdyszany.

Milo od razu zrozumiał, że coś jest nie tak. Nigdy nie widział krasnoluda w takim stanie.

– Usul... – wychrypiał krasnolud. – Oni tam som, w wiosce no nabrzeżu.

Uśmiech zgasł nagle z twarzy elfa. Pokiwał lekko i wstał od ogniska. Zaczął przypinać pas, do którego uciepione miał bronie. Andeith natychmiast zaczęła chować ich rzeczy do sakwy. Podniosła wspartą o drzewo tarczę i zarzuciła ją na plecy. Milo nic z tego nie rozumiał.

– Kto jest w wiosce? Co się dzieje? – pytał rozglądając się ze zdziwieniem. Jego towarzysze nie spojrzeli na niego, zajęci przygotowaniami.

– Drakkar. Ze Skellige – odparł spokojnym głosem elf. – Nasi śmiertelni wrogowie.

– Milo. – Elfka przykucnęła przy niziołku. Jej zielone oczy, skryte częściowo pod falą czarnych loków, działały na niego uspokajająco. – To dla Ciebie – powiedziała cichym głosem i wręczyła mu dwa puginały.

Odebrał powoli sztylety z jej rąk i wpatrywał się w nie z rosnącym niepokojem.

– Tym razem to nie będą ćwiczenia. Pamiętaj czego cię nauczyłam. – Andeith uśmiechnęła się do niego. – I nie bój się, Milo. Będziemy przy tobie.

Ruszyli za Tryggvim na północny zachód, w stronę wybrzeża. Zaraz za skrajem lasu zobaczyli zabudowania. Osada nie była duża, zaledwie kilka chałup, zagrody i karczma. Drakkar stał zacumowany daleko w morzu. Przy wyciągniętym ze wsi pomoście zacumowana była samotna łódź.

– Gdzie są? – zapytał Usul, bacznie przyglądając się wiosce.

– Karczmo. – odparł ciężko krasnolud i poprawił uchwyt na młocie. – Usul, to będzie dobro bitko.

Elf spojrzął na krasnoluda i odpowiedział uśmiechem na dziwny grymas, który zdobił twarz Tryggwiego. Milo nie widział jeszcze, by ich brodaty kompan się kiedykolwiek uśmiechał, ale to mogło być właśnie to.

Zaczekali chwilę, ale nie dostrzegli nikogo przy chałupach. Wyszli z lasu powoli, starając się uniknąć wykrycia. Zakradli się na tyły karczmy, największego budynku we wsi. Przez białą ścianę słyszeli ze środka hałas, wiele głosów i śmiech. Milo nawet nie zauważył zniknięcia Tryggwiego, dlatego zdziwił się, gdy krasnolud wyłonił się nagle zza winkła.

– Czterech. I jeszcze jeden przy łodzi – wyszeptał.

Andeith założyła tarczę na ramię i poprawiła mocujące ją pasy. Usul powoli i bezszelestnie dobył swoich broni. Milo starał się zapanować nad drżeniem rąk, w których trzymał sztylety. Podeszli najciszej jak umieli do drzwi karczmy.

– Wbiegamy razem. Zabijamy wszystkich – szepnął elf.

Milo wyczuł zdenerwowanie wokół siebie. Usul zawsze uśmiechał się przed walką, a tym razem twarz miał jak z kamienia. Ręce niziołka pociły się coraz mocniej.

Wbiegli do środka niemal jednocześnie. Milo potrzebował chwili by ocenić sytuację. Wyspiarzy było czterech, jednakowo wielkich, zarośniętych i odzianych w skórzane zbroje. Siedzieli przy stole na środku izby, w dłoniach wciąż trzymali kufle z piwem i rozmawiali w dziwnym języku. Pod ścianą stał karczmarz, który na widok intruzów upuścił gąsiorek z winem.

Elfy natychmiast skoczyły do walki, ale nie wszyscy korsarze dali się zaskoczyć. Kilku poderwało się i natychmiast dobyło leżących na stole broni. Andeith skokiem przez

ławę wpadła między dwójkę. Jeszcze w locie uderzyła jednego kantem tarczy w brodą twarz. Trafiony zachwiał się i upadł na podłogę. Biegnący z tyłu Tryggvi z rykiem uderzył w niego młotem, łamiąc mu wszystkie żebra. Na drugiego człowieka elfka zamachnęła się bułatem, ale korsarz z łatwością odbił jej cios mieczem. Jego potężna pięść obaliła ją na plecy.

Andeith poczuła, jak otrze miecza zatapia się w jej brzuchu. Wyspiarz spoglądał w jej zielone oczy szczerząc zęby w uśmiechu. Już po chwili wygiął się jednak z krzykiem, gdy dwa puginały wsunęły się między jego żebra.

Usul skoczył przez stół i kopnął kufel z piwem prosto w twarz jednego z ludzi, na chwilę go dekoncentrując. Ta chwila wystarczyła. Uderzył zamasyście od góry. Nadziak z chrzęstem wbił się w czaszkę człowieka, którego jasne włosy natychmiast pokryły się krwią. Ostatni korsarz poderwał z podłogi ławę i cisnął nią w elfa, po czym odwrócił się gwałtownie i zamachnął się toporem na krasnoluda. Tryggvi odskoczył w ostatniej chwili i uderzył na odlew młotem. Rozpędzona głowica zawadziła o stół, osłabiając impet. Trafiony w pierś człowiek zatoczył się tylko i upadł na plecy. Spróbował się jeszcze podnieść, ale niziołek był już przy nim.

Milo nie rozumiał tłumionych bulgotem krwi przekleństw, wypowiedzianych w obcym języku. Nie obchodziły go zresztą. Wsuwał puginał coraz głębiej w gardło leżącego mężczyzny. Nie spieszył się. Nie czuł już lęku, wyłącznie gniew.

– Andeith! – Gdy tylko ostatni wróg padł na ziemię, elf skoczył do leżącej wojowniczkii. – Andeith... Zabieramy cię stąd. Pomóżcie mi! – Przyłożył dłoń do krwawiącego brzucha elfki, próbując zatamować ciekącą krew.

– Nie, Usulu. Zostawcie mnie. Uciekajcie – powiedziała bardzo cicho, ciszej nawet niż zwykle.

Z jej ust pociekła strużka krwi. Nie zamierzali jej tam zostawiać, nie brali tego nawet pod uwagę. Tryggvi przytargał leżącą na podłodze niedźwiedzią skórę. Milo pobiegł na zaplecze, mijając po drodze kuczającego w kałuży własnych szczyn karczmarza. Przyniósł bimber, którym przemyli ranę. W kilka chwil uwinęli się z prowizorycznymi noszami i wynieśli ostrożnie elfkę przed karczmę.

– Hola, hola! Tak wam śpieszno? – Na placu stał człowiek, ogromny niczym byk. Ubrany był w skórzane spodnie i kamizelkę. Miał długie, jasne włosy i plecioną w dwa warkocze brodę. Przejechał ostrzem miecza po stylisku topora, który trzymał w drugim ręku.

– Nigdzie stąd już nie pójdziecie – zawarczał groźnie i zaczął iść w ich kierunku.

Usul wyszedł mu na przeciw. Skoczyli ku sobie i w powietrzu błysnęły klingi. Elf bezskutecznie próbował dosięgnąć przeciwnika. Był szybszy, ale korsarz uderzał z taką mocą, że zdołałyby chyba przepołowić niedźwiedzia. Elf cały czas bezskutecznie wypatrywał okazji. Doskakiwał i uderzał, z trudem robiąc uniki przed morderczymi cięciami człowieka. Czekał, aż ten popełni błąd. W końcu dostrzegł to na co liczył. Odsłonięty lewy bok. Uderzył natychmiast i poczuł, jak nadziak wbija się w ciało wroga. Za późno zrozumiał swój błąd. Zbyt późno dostrzegł, że ten słaby punkt był odsłonięty celowo.

Szli przez las, ciągnąc we dwóch nosze. Poruszali się bardzo wolno. Tryggvi mówił, że obóz Komanda był już niedaleko. Andeith wyglądała blado. Leżała nieprzytomna na niedźwiedziej skórze. Opatrunek był prowizoryczny, ale na razie spełniał swoje zadanie – powstrzymali upływ krwi. Usul leżał obok, wpatrując się w nią mglistym z wyczerpania wzrokiem. Kurczowo trzymał jej dłoń. Z jego nogą było źle, topór wbił się aż do kości.

– Ni dotrwajom. – Ciężki głos Tryggwiego rozbudził Mila z rozmyślenia. Ciągnęli nosze we dwóch już od wielu godzin, ale nie zwalniali. Dawali z siebie wszystko.

– Dotrwają! Muszą! – odparł z determinacją niziołek.

Krasnolud spojrział na niego z ukosa.

– Bo inaczej po co to wszystko?

Tryggvi nie odpowiedział. Zrobił tylko przypominający uśmiech grymas i z jeszcze większym zapałem obaj przyśpieszyli kroku.

Pościg

– Ślad jest świeży. Byli tu najwyżej przed trzema godzinami – powiedział klęczący na ziemi mężczyzna.

Olf był zwiadowcą i walczył w tej wojnie dostatecznie długo, by umieć rozpoznać ślady. Nieduża stopa, ale nie krasnoluda. Na to trop był zbyt płytki. Niziołek. Drugi znacznie głębszy, zdecydowanie krasnoludzki. Dwie podłużne koleiny...

– Ciągną coś ciężkiego, pewnie rannych.

Dobrze – pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. – *To ich spowolni.*

– Obyś się nie mylił, Olf. Chcę ich dorwać jeszcze przed zmrokiem. – Stojący za jego plecami smarkacz o surowej twarzy nawet nie spojrzał na tropiciela. Rozglądał się tylko po otaczającym ich lesie.

Olf niespecjalnie lubił ich nowego kapitana. Głupi smarkacz, syn jarla. Ledwie mu zarost wyrósł, a już mu drakkar dali.

Gówna by w tym lesie nie wypatrył, nawet jakby w jego stronę leciało – pomyślał i splunął od niechcienia w gęstwinę.

– Co tam mówiłeś, Olf? – Surowe spojrzenie kapitana tym razem przeniosło się na klęczącego zwiadowcę.

– Dogonimy ich – odparł natychmiast Sigvatowi i podniósł się z klęczek.

– Wiem o tym! – Syknął ze złością chłopak, łapiąc starego zwiadowcę za kaftan. – Nie wrócę na An Skellig jako pobity! Rzucę ojcu wiewiórcze ogony pod nogi, razem z przyczepionymi do nich głowami!

Cała drużyna wyspiarzy ruszyła za tropem pomiędzy drzewa. Nie podobało im się to. Minęły już trzy dni od masakry w nadmorskiej wiosce. Czuli, że zbyt daleko oddalili się od morza. Zbyt głęboko uszli w lasy. Wiedzieli jednak, jak powitano by ich, gdyby przekazali wieści o swojej kłęsce.

– Naprzód do cholery! Jest ich tylko dwóch, mają rannych! – Poganiał Sigvat, widząc ponury wzrok swojej załogi.

Szli w milczeniu. Na ich twarzach malowała się chęć mordy, chcieli pomścić towarzyszy i krwią zapłacić za ich śmierć. Nagle, jak na komendę, przypadli do ziemi. Sigvat

z początku nie zrozumiał. Rzucił się ostatni, idąc śladem reszty. Dopiero po chwili zobaczył to, co pozostali. Daleko przed nimi coś się poruszyło. Nieduża postać pośród drzew. Niziołek.

To moja szansa. – Pomyślał Sigvat. – Udowodnię ojcu, że nie popełnił błędu powierzając mi załogę.

Zerwał się z ziemi.

– Brać go! – krzyknął gromko, nie tłumiąc radości w swoim głosie. To była jego chwila, jego moment. Pozostali ruszyli pędem, szykując broń.

Milo siedział przy swoich towarzyszach, czekając na powrót Tryggwiego. Wciąż nie mógł dojść do siebie. Rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami, wpatrując się w twarze śpiących na posłaniu z niedźwiedziej skóry elfów. Był zmęczony. Otarł rękawem pot z czoła, kiedy nagle usłyszał krzyk.

Gdy się obrócił, biegli już w jego stronę. Kolczugi, brodate twarze, okrągłe tarcze... Tacy sami, jak ci w wiosce, a on był sam. Nie wiedział co zrobić. Był zbyt zmęczony forsownym marszem. Wstał i wyciągnął zza pasa swoje puginały. Otoczyli go. Rozmawiali pomiędzy sobą w nieznanym mu języku. Poznawał ten dialekt. Słyszał go wtedy w karczmie.

– Brakuje krasnoluda. – Sigvat popatrzył na zwiadowcę. – Mówiłeś, że będzie ich dwóch. – Wskazał wyciągniętym mieczem ledwo stojącego na nogach niziołka. – Znajdź go! Znajdź natychmiast!

Olf prędko dostrzegł ślad idący od rannych i ruszył tropem.

Nie miał sił do walki. Wiedział zresztą, że nie ma szans. Nawet nie drgnął, gdy podszedł do niego młody mężczyzna w kolczudze, z zarzuconym na ramiona wilczym futrem. Nawet nie uniósł puginałów, gdy ten człowiek potężnym ciosem pięści obalił go na ziemię. W głowie mu zaszumiało. Nie mógł się poruszyć. Patrzył tylko jak drużyna zbrojnych podchodzi do rannych elfów, gotując broń. Jeden z nich się zaśmiał, wskazał elfkę. Reszta mu zawtórowała wesołym rechotem.

Nie śmiali się długo. Coś zaświszczało w powietrzu. Milo usłyszał krzyk. Jeden z ludzi zwałił się tuż obok niego. Z oczodołu wystawał grot zakończony siwą lotką. Mężczyźni

obejrzeni się. Kolejne świsty, kolejne dwa trupy. Przykucnęli. Zbili się w krąg wokół niziołka i zasłonili tarczami.

Milo usłyszał dzikie hałakowanie. Zobaczył elfy i krasnoludy wypadające z lasu, rzucające się na tarczowników, mieczami i toporami próbujące przebić się przez ich zasłonę. Słyszał krzyki ranionych i wycie umierających. W głowie mu wirowało. Zebrał w sobie siły, podniósł się na kolano. W dłoni nadal miał swój puginał.

Zobaczył w kręgu człowieka, który uderzył go chwile temu. Wyspiarz stał odwrócony plecami do niego i rąbał właśnie mieczem w głowę jakiegoś krasnoluda. Milo nie wahał się ani chwili. Rzucił się z krzykiem, desperacko, resztkami sił. Poczuł, jak ostrze sztyletu przebija wilcze futro i zagłębia się w ciało. Naparł z całych sił. Ciepła posoka lała się mu po dłoni. Mężczyzna zwałił się na ziemię i przygniótł osłabionego niziołka. Milo nie miał już sił. Puścił sztylet i jego oczy zaląa ciemność.

Olf zawrócił natychmiast, jak tylko usłyszał krzyk. Szedł ostrożnie, rozglądając się na boki i obserwując drzewa. Nie wiedział co się dzieje, co czeka przed nim. Kiedy dotarł na pobojuwisko, przypadł od razu do ziemi. Wiedział, że się spóźnił. Komando. Cholerne wiewiórki. Przeklęty Sigvat zgubił ich wszystkich.

Skryty za krzakiem, zaczął się wycofywać. Był bardzo cicho. Polował od dziecka w lasach An Skellig. Był zwiadowcą, wiedział jak poruszać się bezszelestnie. Tak przynajmniej uważał.

– Prowie ci siem udoło. – Usłyszał za plecami chrapliwy głos. Obejrzał się i zobaczył stojącą nad nim kępą, niską postać, oraz opadającą z impetem głowicę młota.

Odzyskana nadzieja

Otworzył oczy i jak co dzień zobaczył nad sobą płachtę namiotu. Było okropnie zimno. Leżał przykryty kilkoma skórami. Nocą nie wolno było palić ognia. Blask widać wtedy z daleka, a to mogłoby ściągnąć niebezpieczeństwo.

Minęły dwa tygodnie, od kiedy Komando ocaliło im życie. Dwa tygodnie, od kiedy sprowadzono ich do obozu. Milo wychodził z namiotu rzadko. Tylko, żeby sprawdzić, jak czują się jego ranni przyjaciele. Pozostałych Wojowników unikał. Wstydził się. Odkąd powiedziano mu, jak wielu z nich zginęło wtedy w lesie, ratując mu życie, wstydził się spojrzeć im w oczy. Bał się zobaczyć w nich pogardę. Nigdy jej nie dostrzegł, ale ten strach był silniejszy od niego.

Okrył się ciepłym płaszczem i wyszedł z namiotu jak każdego ranka, by zobaczyć się z przyjaciółmi. Usul siedział przed namiotem wsparty o drzewo. Jak co dzień czyścił broń. Milo wiedział, że młody elf nie może się doczekać powrotu do walki. Z jego nogą było już lepiej, chociaż lecząca ich znachorka wciąż jeszcze kazała mu odpoczywać. Andeith spała na skórach obok niego. Rana na brzuchu goiła się nad podziw ładnie.

– Milo. – Usul uśmiechnął się na widok nadchodzącego niziołka i odłożył miecz. – Chciałem Cię właśnie widzieć. Wkrótce wyruszam wraz z Komandem.

Niziołek nie odpowiedział. Stał przed nim i skrzyżowawszy ramiona na piersi wiercił elfa wzrokiem.

– Ty, Andeith i Tryggvi zostanieie tu jeszcze przez jakiś czas.

– Więc to tak? Tak Ci śpieszno, by ruszyć w bój? Tak śpieszno, by szukać śmierci, której dopiero co ledwo się wywinąłeś? – Milo nawet nie próbował kryć gniewu i dezaprobaty w głosie. Był zmęczony. Choć odpoczywał już od dwóch tygodni, nie opuszczały go niepokój i zmęczenie.

Usul westchnął tylko i spojrzał na leżący na kolanach miecz.

– Moje życie nie ma znaczenia Milo. Myślałem, że do tej pory już to zrozumiałeś. – Uniósł wzrok na niziołka. Jego twarz, zwykle uśmiechnięta, teraz wyrażała tylko pustkę. – Ja nie o swoją wolność i przetrwanie walczę. Ja myślę o tych, którzy giną w pogromach. O tych, których zamyka się w obozach i wiesz na gościńcach, jak i ciebie chciano powiesić. Ocaliłem wiele istnień, Milo. W porównaniu z tym, moje własne życie nie ma znaczenia.

Niziołek wziął głęboki wdech. Czuł jak zmęczenie ustępuje, jak ogarnia go zupełnie inne uczucie. Nie wytrzymał.

– W całym swoim życiu nie usłyszałem czegoś równie głupiego! – Wbił wskazujący palec w ramię osłupiałego z zaskoczenia elfa.

– Twoje życie nic nie znaczy? To coś ci powiem, wszystko rozumiejący elfie. Znam kilka osób, którym na twoim nic nie znaczącym życiu zależy. Widziałem też, jak inni ginęli za twoje nic nie warte życie. Mówisz, że życie wojownika nic nie znaczy? Spójrz jej w oczy. Spójrz i powiedz, że jej życie nic dla ciebie nie znaczy.

Usul spojrział za wskazującą ręką niziołka. Andeith już nie spała. Spoglądała na niego w milczeniu. Milo obrócił się na pięcie i odszedł. Ręce wciąż jeszcze mu się trzęsły.

Przechadzał się po obozie, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Mijał namioty i kręcących się przy nich wojowników. Elfy, krasnoludy, widział też kilku gnomów i nawet jednego niziołka. Nie chciał z nimi rozmawiać. Nie umiał się pośród nich odnaleźć.

– Co tom, zuchu? – Usłyszał za plecami znajomy, chrypiący głos. Obejrzał się i rozpromienił lekko. Nie widział Tryggviego już od dawna. Krasnolud ciągle znikał w lesie, wybierając się na samotne zwiady. – Nic nie mów, widzem po twarzy, co ci dolega. Mom no to lekarstwo. – Tryggvi poklepał przytroczony do pasa bukłak i zrobił swój przypominający uśmiech grymas.

Mimo paskudnego nastroju, Milo zaśmiał się mimowolnie.

– Pójdźmy w los, przyniesiem zajomca no kolocje. – Po chwili wahania Milo przytaknął. Obaj ruszyli w gęstwinę.

Do obozu wrócili po zmierzchu. Gdy wędrowali, wszystko wydawało się prostsze. Tego właśnie mu brakowało – wędrowki z przyjaciółmi. Milo chciał odszukać elfy. Pokazać im upolowanego zająca, ale nie zastał ich przy namiocie. Poszedł nad strumień, by oprawić mięso. I tam ich zobaczył. Stali razem przy potoku, oświetleni blaskiem księżycy w pełni.

Elfy wpatrywały się w siebie, rozmawiały. Widział ich bardzo wyraźnie. Zobaczył, jak Usul ujmuje dłoń Andeith. Zobaczył, jak ich usta łączą się w pocałunku. I pierwszy raz od dwóch tygodni – uśmiechnął się.

Porwanie

Tylko głupiec mógł rozpalić ognisko w środku nocy. Tylko głupiec mógł wzniecić ogień tak, że widać go z daleka. Tylko prawdziwy dureń mógł nie zorientować się, że to musiała być pułapka.

Milo był na siebie zły. Zdawał sobie sprawę, że ten błąd może kosztować go życie. Gdy tylko zobaczył ogień, powinien zawrócić i powiadomić pozostałych. Myślał, że wie już dostatecznie wiele, że sobie poradzi.

Dureń! – pomyślał po raz setny, gdy koń do którego uwiązany był powrozem, szarpnął nim gwałtownie.

Zakradł się najciszej, jak umiał. Najostrożniej, jak potrafił. Ale przy ognisku nie było nikogo. Czekali skryci w lesie, w ciemności, z dala od światła. Wiedzieli co robią. Tym się trudnili. Z początku nie wiedział kim są jego prześladowcy. Dopiero o świcie zrozumiał, w jaką kabałę się wpakował. Na ramionach nosili czarno-złoto-czerwone kokardy.

Milo znał ten symbol tylko ze słyszenia – oddziały specjalne królestwa Aedirn, stworzone do polowania na Scoia'tael. Uwinęli się z nim bardzo sprawnie. Związali go, zakneblowali i przerzucili przez siodło, jak worek kartofli. Nie czekali, aż w pobliżu zjawi się więcej Wiewiórek. Odjechali natychmiast. Od długiej jazdy okrutnie bolały go teraz żebra. Dopiero nad ranem zdjęli go i uwiązali na powrót.

– Żwawiej przebieraj tymi nóżkami, malcu. Widziałeś kiedy, jak z ciągniętego za koniem zdziera się skórka? Wierzaj, nie chciałbyś tego uświadczyć.

Człowiek, który ciągnął go za swoim koniem, obrócił się w siodle. Na jego twarzy, pod sumiastym czarnym wąsem, wyrósł okrutny uśmiech.

– A jak myślisz, że nas spowolnisz, że dasz Wiewiórkom czas na ratunek, to się grubo mylisz!

Koń zatrzymał się tak gwałtownie, że powłóczący nogami Milo wpadł na jego zad. Po chwili poczuł tuż przy twarzy chłodny metal ogromnego, najeżonego kolcami korbacza.

– Dowieziemy cię do strażnicy jeszcze przed zmrokiem, choćby ci miały odpaść te pokurczone nóżki, a tam... Tam to już będziesz żałował, że nie zdechłeś tu, na trakcie. – Kolce korbacza przesunęły się powoli po policzku niziołka.

Milo uniósł głowę i splunął na kaftan człowieka. Mierzył w twarz, ale zabrakło mu siły. Mężczyzna targnął konia pod boki i nagłym szarpnięciem powrozu, prawie zwałił niziolka na ziemię.

– Karsor! Nie baw się z tym kurduplem. Będzie na to czas – powiedział jadący za nimi drobnej postury człowiek o szczurzej gębie. Milo słyszał już wcześniej, że wołają na niego Tarwik. Przed nimi jechała kobieta oszpecona paskudną blizną przecinającą policzek. Była ich dowódcą i nazywała się Varissa.

Milo co jakiś czas oglądał się na las otaczający gościniec. Na początku co chwilę wyglądał przyjaciół, ale powoli tracił już nadzieję. Skóra na stopach pozdzierała mu się do krwi. Zaczął nawet w duchu modlić się, żeby ta strażnica była już niedaleko. Żeby to się już skończyło. Konie stanęły nagle i Milo po raz kolejny wybudził się z rozmyślań, wpadając na koński zad. Daleko przed nimi, na horyzoncie, wznosiły się ponad lasem kłęby czarnego dymu.

– Karsor! Tarwik! Skryjcie się, a ja sprawdzę co się dzieje. – Varissa wbiła piety w końskie boki i wyrwała do przodu. Jechała długo i zatrzymała się dopiero przed samą strażnicą.

Wjeżdżać do środka nie zamierzała. Wiedziała, że nie ma już po co. Nad palisadą unosił się czarny dym. Przez otwartą bramę widziała trupy na placu. Komando musiało uderzyć w nocy. Kilku strażników nie zdążyło nawet naciągnąć spodni. Wyglądali, jakby wybiegli z baraku w sam środek krwawej jatki.

Zaklęła paskudnie i zawróciła konia. Nagle dostrzegła, że na trakcie tuż za nią wyrósł jak spod ziemi ciemnowłosy elf. Stał kilkanaście metrów od niej, ubrany w pikowany kaftan i ciemnozielony płaszcz. W obu opuszczonych przy tułowiu dłoniach trzymał zębate pałasze. Varissa rozejrzała się dookoła. Nie widziała nikogo pośród gąszczy drzew, ale wiedziała, że Wiewiórki muszą gdzieś tam się kryć.

Elf uśmiechnął się tylko nieznacznie, gdy dostrzegł jej czujne spojrzenie.

– Czekaliśmy na was. Ten gruby oficer ze strażnicy powiedział nam wszystko, ale miała być was trójka. Gdzie pozostali? – Zapytał spokojnie, nie poruszając się z miejsca.

Varissa zeskoczyła zwinnie z konia. Z kocią gracją dobiła dwóch elfich jataganów z zawieszonych na plecach uprzęży. Nie bała się. Elfy zabiły jej rodzinę, a ją samą boleśnie

naznaczyły. Po to przecież wstąpiła do oddziałów specjalnych. Chciała zabijać. I zabiła już bardzo wielu z nich.

– Glaeddyv vort. – Powiedział spokojnie elf, a miecze w jego dłoniach poruszyły się nieznacznie.

– I co? Jeśli ci powiem, puścisz mnie wolno? – Uśmiechnęła się odsłaniając zęby. Szrama biegnąca przez cały lewy policzek rozciągnęła się szpetnie. – Pies cię ganiał, elfie. Idź do diabłów!

Splunęła krótko i rzuciła się na niego. Jej jatagany zaświszczały w powietrzu. Wiedziała, że elfy są szybkie. Walczyła z nimi nie raz i umiała je zabijać, ale ten elf był inny. Walczył zupełnie inaczej. Nie spróbował uniknąć jej pchnięcia tak, jak się tego spodziewała. Odbił je. I zrobił to z taką siłą, że owinięta skórą rękojeść jej miecza zadrżała niebezpiecznie w dłoni. Jego pałasze uderzały raz za razem, zmuszając ją do cofania.

Walczyl ryzykownie, nawet nie próbując się bronić. Z łatwością mogłaby sieknąć go w odsłonięte miejsce, ale nie miała jak. Z trudem parowała kolejne ciosy i wiedziała, że gdyby zaryzykowała wypad, kolejne cięcie jego pałasza zakończyłoby walkę.

Zaryzykowała. Krzyżując ostrza, zatrzymała kolejny cios elfa i pochylając ciało, wywinęła się w obrotach. Chciała znaleźć się za jego plecami i ciąć z ukosa, w górę, ale elf był zbyt szybki. Zdołał odbić jeden z jej mieczy. Drugie ostrze tylko zacięło go w ramię.

Spróbowała jeszcze raz. Blok i szybki obrót. Tym razem nie dał się nabrać. Obalił ją kopniakiem, gdy tylko odwróciła się do niego plecami. Upadła z jękiem na twarz. Bronie wypadły jej z rąk. Gdy przewróciła się na plecy zobaczyła, że elf stoi tuż nad nią. Przystawił miecz do jej gardła.

– Gdzie oni są? – zapytał zimnym głosem.

Zacisnęła mocno szczęki. Nie bała się śmierci. Wiedziała na co się pisze, gdy zawiązała na ramieniu kokardę.

– Kiedyś, pewnego dnia, wszyscy zginiecie. Cała wasza rasa – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby, rzucając mu pełne pogardy spojrzenie.

– Mori? – Za plecami elfa wyłoniła się bezszelestnie z lasu niebieskooka elfka. – Co teraz?

Wojownik Komanda wyjął powoli zakrwawiony sztych miecza z gardła Varissy. Wytarł posokę o jej kaftan. Rana na ramieniu krwawiła mu mocno. Nim odwrócił się do elfki, odciął jeszcze szybkim wymachem kokardę z ramienia trupa. Mrużąc oczy popatrzył na gościniec, w stronę, z której przyjechała kobieta.

– Teraz mogą być już wszędzie. Wracamy do obozu, Letalio.

Elfka zebrała z ziemi oręż trupa i oboje zniknęli w gęstwinie.

Na ratunek

– Wiewiórki spaliły strażnice, Varissa nie żyje, a wy... Wy przyprowadzacie mi jakiegoś ledwo żywego niziołka? – Gruby człowiek, siedzący w obitym skórą fotelu zaśmiał się nieznacznie. Jego podbródki zafalowały, a otłuszczone palce rytmicznie stukały o blat dębowego biurka.

Mało kto zdawał sobie sprawę, że Arbaer z Eysenlaan poza byciem właścicielem największej w mieście huty, był również od lat wysoko postawionym agentem wywiadu Aedirn.

Spróbował podnieść się powoli z fotela i natychmiast zaklął w duchu, gdy jego rana znowu się odezwała. Podszedł ostrożnie w stronę okna, uważając by nie zerwać opatrunku. Nie obejrzał się nawet na stojącego po drugiej stronie masywnego biurka Tarwika. Wpatrywał się przez szybę na pracujących przy wielkich piecach ludzi.

– I co ja niby miałbym z nim zrobić? Przesłuchać? – Odwrócił się powoli w stronę najemnika. – Jesteście w drodze od trzech dni, a Scoia'tael nie są głupi. To co wiedział niziołek, jeśli w ogóle coś wiedział, do tej pory stało się gównem warte.

– Za pozwoleniem, panie Arbaer. Co zrobić z więźniem, to już wasza rzecz. My z Karsorem dostarczamy wam ich żywych, jak sobie życzyliście.

Tarwik już nie pierwszy raz miał do czynienia z grubasem. Wiedział, że nie wolno go nie doceniać. Wiedział też, że tłusty szpieg potrzebuje jeńców do pracy w kopalni. I że zwykle dobrze za takich płaci.

Arbaer pokiwał głową, nie spuszczać wzroku ze swojego gościa. Zastanawiał się, jak wykorzystać te dwójkę łotrów do swoich celów. I chyba miał już jakiś pomysł.

– Pokpiliście sprawę, panie Tarwik. Ten ledwo żywy niziołek na nic mi się nie przyda. Zdechnie już po paru dniach i dobrze o tym wiecie. Nawet złamanego miedziaka wam za niego nie dam! – Szpieg uśmiechnął się w duchu, widząc niezadowolenie malujące się na twarzy oprycha. Przeszedł się dookoła niego udając, że spogląda z namysłem w podłogowe deski. Każdy krok dokuczał mu boleśnie i przeklinał się za swój brak ostrożności z wziętą do niewoli elfką.

– Jednakże... Znajcie moją łaskę. Właśnie zaczyna się festyn. Planowałem ubarwić go publiczną egzekucją. Nic nie budzi takiego zadowolenia motłochu, jak publiczne egzekucje. I

mam już odpowiednich kandydatów – powiedział, zaciskając zęby tak mocno, że Tarwik przysięgłby, że usłyszał ich chrupnięcie. Pstryknął głośno tłustymi palcami. – Wasz niziołek do nich dołączy. Trójka skazańców będzie w sam raz.

– Nie widzę jaki w tym dla mnie interes, panie Arbaer. Mogłem zabić go na miejscu, oszczędzając sobie fatygi.

Stojący za jego plecami grubas położył mu pulchną dłoń na ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

– Pozostałych zatrzymanych po festynie odeskortujecie do kopalni, panie Tarwik. Ostatnio Wiewiórki nieco pokrzyżowały mi plany. Części moich niedoszłych górników udało się zbiec, a ja nie mogę sobie pozwolić na takie wpadki. Zrobicie to dla mnie, panie Tarwik, a może nie wyjdziecie stąd jednak z pustymi rękoma.

– Krew ledwo skrzepla. Byli tu niedawno – mruknął ochryple krasnolud i podniósł się z kłęczek. Ciężki młot zarzucił sobie na ramię. – Jakby sobie nie rozorał skórki, to byśmy go nie znaleźli. – Przetarł rękawem pot zbierający się na czole. – Zuch dzieciok.

Usul miał pewne wątpliwości, czy Milo zostawia krwawy ślad specjalnie, ale wolał nie dywagować w tej chwili na ten temat z Tryggvim. Obserwował z leśnej gęstwiny wał obronny okalający miasto i patrzył na celników sprawdzających wozy, które przepuszczali przez bramę.

– Usulu? – Andeith bezszelestnie podeszła do niego od tyłu. Delikatnie ujęła jego dłoń, wytrącając elfa z zamyślenia. – Co zrobimy?

Spojrzał jej w oczy, zielone jak szmaragdy, przesłonięte częściowo czarnymi lokami. Miał już pewien plan, ale bardzo ryzykowny.

Kiedy parę dni temu krasnolud przybiegł w środku nocy do ich posłania, nie wiedzieli jeszcze, co się stało. Andeith skryła się szczerzej pod wełnianym kocem, a leżący obok niej elf miał ochotę skłąć krasnoluda bardzo wymyślną wiązką. Kiedy jednak dowiedzieli się, co zaszło, ubrali się i spakowali szybko swoje sakwy. Umieeli sprawnie zebrać się do drogi, od tego nie raz zależało ich życie.

Jak tylko Tryggvi podjął trop przy zgaszonym ognisku, stali już przy nim w pełnej gotowości. Mogli tylko domyślać się, kto porwał niziołka. Wiedzieli, że w tych stronach polują oddziały specjalne. Słyszeli o zastawianych przez nich zasadzkach i łapanekach. To, że

nie zabili niziołka od razu, tylko utwierdzało ich w tym podejrzeniu. Idąc za śladami, trafili do spalonej strażnicy, gdzie przez chwilę znaleźli się w ślepym zaułku. Trup kobiety leżącej na gościńcu i kokarda przy jej ramieniu dały im przynajmniej podpowiedź, co mogło zająć.

Przez dobrą godzinę krążyli po okolicy, aż w końcu znaleźli to, czego szukali. Zakrwawione ślady stóp niziołka. Wiedzieli już, dokąd Milo jest prowadzony. Andeith i Tryggvi znali to miejsce jedynie ze słyszenia. W Komandzie krążyły o nim różne historie. Wiedzieli na pewno, że gdzieś w górach, u podnóża których leżała miejscina, jest ukryty obóz. Sprowadzano do niego jeńców, by pracowali w kopalni. Usul był już kiedyś w Eysenlaan i był już kiedyś w tym obozie.

– Wiem, co musimy zrobić. – Zacisnął mocniej palce na dłoni elfki i spojrzał ponownie w stronę miasta.

Festyn był w miasteczku wielkim wydarzeniem, tradycyjnie organizowanym na początku każdego miesiąca. Zewsząd zjeżdżali się żądni zysku kupcy, a okoliczne cechy wysyłały czeladników by prezentowali ich pełne kunsztu wyroby. Na obszernym rynku ustawiono stragany i garkuchnie, a pomiędzy zebrany tłumem krzątali się trefnisie i połykacze ognia. Obwoźne teatrzyki ustawiły swoje prowizoryczne sceny i dawały krótkie wystąpienia, od których gapie ryczeli głośno ze śmiechu. W samym centrum placu stała natomiast naprędce zbudowana szubienica. Nad niewysoką platformą ustawiono drewnianą konstrukcję, z której szczytu zwisały trzy zakończone pętlami sznury.

Milo szedł przez rynek, spoglądając z pogardą na otaczający go, rozradowany tłum. Zdarte stopy wciąż bolały go okrutnie, ale zdążył już do tego przywyknąć. Niewiele wiedział o prowadzonych razem z nim elfach. Jasnowłosy nazywał się Assaen i był już przesłuchiwany od kilku dni, zanim spotkali się w celi. Jego twarz była spuchnięta, a z rozbitego nosa ciągnęła się strużka zaschniętej krwi. Niebieskooka elfka nie była za to zbyt rozmowna. Splunęła krwisto na suknie jakiejś damy, która wytykała ją palcem. Widok wzburzenia na upudrowanej twarzy sprawił, że uśmiechnęła się szeroko, ukazując krew wypełniającą usta i szparę po wybitym zębie.

Podest szubienicy był coraz bliżej i Milo czuł coraz większy strach. Gdy prowadzono go po schodkach, nogi zaczęły się pod nim uginać, a świat wirował przed oczyma. Nie słyszał już prawie ryku zebranego na placu tłumy. Widział tylko czekającą na niego pętlę. Stojący na

podeście człowiek, ubrany w pikowany kaftan, zaczął wygłaszać orędzie. Milo nie słuchał go. Spoglądał tylko mętным wzrokiem po twarzach zebranych ludzi.

– ...zasłużona kara dla zbrodniarzy i morderców! Czy macie jakieś ostatnie słowa, nim was powiesimy? – Człowiek zwrócił się do skazańców.

Assaen w odpowiedzi splunął mu pod nogi.

– Ja mam! – Elfka uśmiechnęła się szeroko do tłumu, a z jej ust pociekła krew. – Chcę pozdrowić pana Arbaera! Liczę, że długo jeszcze nie zapomni naszego spotkania!

Człowiek w pikowanym kaftanie skrzywił się i ruszył powoli do stojącego na taborecie elfa. W tym momencie gdzieś w oddali zaczęło się poruszenie. Ludzie oddaleni od podestu zaczęli rozbiegać się i coś krzyczeć, jednak wiwaty tłumu ich zagłuszały. Z pietra kamienicy stojącej przy placu wyleciały nagle szyby i z okien buchnął ogień.

Gromkie okrzyki zaczęły cichnąć, a ludzie odwracali się osłupiali. Gdy płomień pojawiły się także na stojących w pobliżu straganach, w tłumie rozbrzmiały pełne paniki okrzyki. Zbici w ciżbę ludzie zaczęli przeciskać się i próbować uciekać w różne strony. Kurtyna objazdowego teatrzyku zajęła się czerwonymi jęzorami ognia.

Człowiek w kaftanie zawahał się na moment. Rozglądał się zagubiony, stojąc obok czekającego na śmierć Asseana. Nie trwało to jednak długo, bo za chwilę jego serce ugodziła zakończona siwą lotką strzała. Z niedowierzaniem objął dłońmi sterczące z piersi drzewce i spojrzał w kierunku, z którego nadleciał pocisk. Po chwili zwałił się bezwiednie na podest.

Przebrana za księżniczkę aktorka stała przed płonącym teatrzykiem i szła z łuku w ogarnięty paniką tłum, starając się wybierać na cel dzierzących halabardy strażników. Skryty pod płaszczem Usul wskoczył na podest i kilkoma szybkimi cięciami miecza oswobodził czekającą na egzekucję trójkę. Podał miecz elfce i nachylił się do niziołka.

Milo zaniemówił, widząc przyjaciela. Chciał coś powiedzieć, ale elf uciszył go palcem i wręczył mu puginały. Assaen wyrwał sztylet zza pasa odzianego w kaftan trupa i razem z elfką skoczył w tłum, chlastając ludzi dookoła siebie.

Usul pociągnął niziołka za ramię i ruszył za elfami, przebijając się w stronę bramy miasta. Ludzie widząc zakrwawione sylwetki krzyczeli i starali się ustępować z drogi, jednak w ogarniętym paniką tłumie było to bardzo trudne. Krew tryskała z podrzynanych gardeł i otwieranych tętnic.

Gdy elfy były już na końcu placu, zza budynku wybiegła osmolona, krępa sylwetka. Krasnolud cisnął ostatnie trzymane w ręku płonące naczynie w stronę kupieckiego wozu. Glina pękła, a oleista substancja natychmiast zajęła się ogniem. Od strony teatru nadbiegła postać w stroju księżniczki. Łuk zastąpiła mieczem trzymany w prawej dłoni.

Milo od razu poznał zielone oczy i czarne włosy, wystające spod szpiczastego kapelusza. Ruszyli prędko w stronę bramy i stojących przy niej ludzi.

– Proszę, proszę – powiedział Tarwik, wyciągając sztylety zza pasa. Stojący przy nim Karsor zaczął kołysać najeżoną kolcami kulą swojego ogromnego korbacza. Tuż za nimi stało trzech gwardzistów, mierząc w elfy ostrzami halabard. – Wygląda na to, że jednak tu nie zarobimy. Może chociaż się dobrze zabawimy.

Karsor wysunął się do przodu i z rozmachu uderzył korbaczem. Usul i elfka zdążyli odskoczyć, ale krwawa miazga, która pozostała z głowy Asseana, niemal oderwała się od ciała.

Milo zacisnął dłonie na puginałach. Wskoczył do przodu widząc, że olbrzym zakręca w powietrzu młyniec i szykuje kolejny cios. Zgrabnie uchylił się pod świszczącym nad jego głową korbaczem i zatopił oba ostrza w brzuchu mężczyzny. Karsor otworzył szeroko usta i po chwili zwałił się na ziemię, przygniatając niziołka swoim cielskiem.

Milo spróbował się wydostać, ale nie był w stanie. Patrzył bezradnie, jak Tarwik zatapia sztylet w ramieniu odpierającego ataki gwardzisty Usula. Spróbował jeszcze raz podnieść przygniatający go ciężar, ale nie dawał rady. Tuż obok niego zwałił się jeden z halabardników, cięty ukośnie przez pierś mieczem Andeith.

Elfka natychmiast musiała uchylić się i sparować cios kolejnego strażnika. Napierał na nią, odbijając jej ostrze. Nie zauważył podchodzącej z tyłu niebieskookiej elfki. Ciężka płynnie po gardle i na niebieską suknię Andeith buchnęła krew halabardnika.

Ostatni z żołnierzy odrzucił drzewce i spróbował uciec. Młot Tryggviego rąbnął go pomiędzy łopatki i zwałił na ziemię. Krasnolud z rykiem wskoczył mu na plecy i dobił, rozbijając głowę człowieka, jak dojrzałego arbuza. Elfki w tym czasie odciągnęły ciało Karsora i pomogły podnieść się niziołkowi.

Andeith rozejrzała się szybko. Mężczyzna o szczurzej twarzy gdzieś zniknął. Zobaczyła za to Usula, wspartego o budynek. Za jego plecami ściekała po ścianie krew.

Podbiegła do niego i złapała go pod ramię. Tryggvi chwycił miecz elfa i wszyscy ruszyli prędko w stronę bramy.

Nim wyszli na gościniec, Usul obejrzał się ostatni raz na płonące stragany i ogarnięty paniką tłum. Spojrzał na szarpane dymem płomieni pętle, kołyszące się na szubienicy. Przez krótką chwilę, przez jedno mrugnięcie powiek, wydawało mu się, że widzi tam siebie ze sznurem na szyi. Szybko jednak odegnał ten obraz od siebie. Opuścili miasto i ruszyli w kierunku lasu.

Elf wtedy jeszcze nie mógł o tym wiedzieć, ale przypomniał sobie ten dzień dużo później, gdy któregoś ranka wszedł na plac fortu Drakenborg i ponownie zobaczył kołyszący się na wietrze sznur.